

ICH DWUDZIESTU

Napisal Andrzej Drzewiński
Ilustrowal Przemysław Woźniak

Napisal: Andrzej Drzewiński

Ilustrowal: Przemysław Woźniak

Kontakt nastąpił kwadrans po północy. Od razu otrzeźwiał ze snu.

Informacja była prosta: siedemnastu z nich odczuło emisję biologiczną, świadczącą o agresywnych zamiarach nadawcy. Po zlaniu się w jeden układ wykryli miejsce, do którego zbliżała się obca forma. Było to sto kilometrów na północny wschód od miasta, w którym mieszkał. Zadanie zostało mu powierzone wraz z częścią energii pola, jakim każdy z nich dysponował. W ten sposób starali się ułatwić mu zadanie. Nic dziwnego, innym razem on postąpi podobnie. Przez chwilę jeszcze przysłuchiwał się organizmowi, lecz wszystko było w porządku. Wstał z łóżka i zasznurował na nogach tenisówki. Krysia spała zwinięta w kłębek, cicho oddychając. Na wszelki wypadek dokonał intensyfikacji jej snu, będąc pewnym, że teraz przez najbliższe sześć godzin, nie obudzi się. Potem podeszedł do drzwi balkonowych i z przyzwyczajenia cicho je otworzył. Na dworze było ciepło, jak to w czerwcu. Oparł ręce o barierkę i rozejrzał się po ciemnych i pustych oknach sąsiadów. Nie było nikogo. Uspokojony popatrzył na niebo, a gdy znalazł kierunek uniósł się w powietrze i poleciał na północny wschód powoli nabierając prędkości. Światła miasta szybko zniknęły z tyłu. Zmysł lokacji informował o braku innych obiektów latających w promieniu jednego kilometra, co było do przewidzenia, gdyż lotnisko mieściło się po drugiej stronie miasta. Nie czuł siły wiatru, gdyż całe jego ciało otaczała warstwa pola siłowego, chroniąca również od zimna. Gdy mijał pasmo wzgórz otaczających miasto dla próby wzbił się na wysokość pięciu kilometrów. Z radością stwierdził, że nie odczuwa przez to żadnych przykrych sensacji. Zadowolony obniżył lot do stu metrów. Niebo zaścieliły niskie i ciemne chmury, które do reszty zakryły Księżyc. Przesuwał się teraz na wysokości jednego kilometra, tak że z trudnością rozpoznawał szcze-

góło terenu. Kilkanaście kilometrów za miastem wdzierał się we wzgórze język pustyni. Obserwując Ziemię w podczerwieni, dostrzegł skok jasności. Był to ostygły już teraz piasek pustyni. Widząc, że leci w prawidłową stronę skoncentrował się i jeszcze bardziej zwiększył prędkość. Wiedział, że informacja jaką odebrali o miejscu i czasie lądowania zawierała pewien margines tolerancji. W szczególności odnosiło się to do czasu, gdyż dla niego liczba czynników ubocznych, które zakłócały proces przewidywania była bardzo duża. Również pamiętał o tym, że jako układ byli w stanie przewidzieć zdarzenie z co najwyżej półgodzinnym wyprzedzeniem. Odebrany czas lądowania obcej formy był na granicy tego okresu. Na szczęście zbliżał się do celu. Chociaż wokół było ciemno na wszelki wypadek postanowił zmniejszyć szybkość. Gdy to zrobił, dostrzegł przed sobą w dole jakieś światółko. Nie zdołał mu się jednak dokładnie przyjrzeć, gdyż poczuł falę olbrzymiego przeciążenia. Jego osobiste pole siłowe zostało wręcz zmiecione, ale mimo to osłabiło impet uderzenia. Wiedział dokładnie, co się stało; zaatakowano go z broni grawitacyjnej. Napastnika nie zdołał dostrzec, ale był w pełni przekonany, że jego obawy, co do czasu lądowania obcych były uzasadnione. Koziołkując w powietrzu czuł, jakby ścisnęły go żelazne kleszcze, a serce biło oszalałe, nie mogąc pompować ciężkiej jak rtęć krwi. Miał jednak szczęście, gdyż gwałtowne zmiany przeciążenia wytrąciły go z toru lotu i dzięki temu spadając, wydostał się z zasięgu fali uderzeniowej. Widząc zbliżającą się ziemię wyhamował prędkość, ale nie na tyle, żeby nie poczuł upadku. Nawet nie podnosząc głowy z piasku, momentalnie dokonał dziesięciometrowej teleportacji. Gdy uniósł wzrok, miał okazję dostrzec, że w miejscu, gdzie przed chwilą spadł, stoi kula ognia, w której rozpuszcza się piasek.

„A więc chciał mnie dobić” – przeszło mu przez głowę.

Lecz gdy spojrział w górę stwierdził, że to nie koniec polowania. Po niebie, jak przeznaczenie przesuwiał się ciemny kształt. Jak na chmurę, jego zarys był zbyt regularny. Mimo olbrzymiego wyczerpania i ogarniających go mdłości, Adam musiał się skupić. Całą swoją energię poświęcił na ekranizację ciała, połączoną z emisją promieniowania, jakie wysyłał otaczający go piasek. Gdyby tego nie zrobił, wróg łatwo by zrozumiał, czym jest ta jasna plama na tle zimnego gruntu. Pojazd jednak, powoli się przesunął nad nim, zatrzymując się tylko na chwilę nad rubinowo żarzącą się teraz bryłą szkliva, aby później, równie cicho i bezszelestnie, odlecieć. Ekranowanie zdało egzamin. Adam leżał cicho ciężko dysząc i mimo, że czas naglił, regenerował siły. Już dawno nie go tak nie wyczerpało. Najgorsze było to, że był to dopiero początek. Instynkt mówił, że spotkał obiekt patrolujący i oczyszczający strefę wokół lądownika. Sądząc po tym, czym ten obiekt dysponował, mógł się teraz spodziewać wszystkiego. Jednego był pewien. Obca forma, która przybyła na Ziemię jest istotą, a prawdopodobnie istotami rozumnymi, których zamiary względem ludzi są jednoznaczne. Przecież pierwsi, bez uprzedzenia go, zaatakowali, starając się mu nie dać nawet najmniejszej szansy. Adam wiedział, że takiemu przeciwnikowi czoła może stawić tylko i wyłącznie ktoś z dwudziestki. Inni ludzie, niestety, są bezradni. Gdy o tym pomyślał, przyszło mu poczuć ogrom odpowiedzialności, jaki na nim ciążył. Sam nie wiedział, czy to ta świadomość, czy fakt, że odpoczął, sprawił, że poczuł przypływ sił. Wstał, nie starając się nawet otrząpać z piasku. Zastanawiał się przez kilka pierwszych metrów drogi, czy włączyć pole osobiste, ale zrezygnował z tego, gdyż zabierało mu ono, na dłuższą metę, zbyt dużo sił. Uczulił jed-

nak zmysł lokacji, co zaniedbał przedtem, z jakże fatalnymi skutkami. Lecieć nie odważył się, gdyż w powietrzu jest się widocznym o wiele bardziej, niż na ziemi. Posuwał się w kierunku, w którym udał się obiekt, gdyż tam spodziewał się znaleźć lądownik. Przypomniawsobie, że również w tym kierunku dostrzegł z powietrza, na moment przed atakiem, małe światełko. Nie mógł sobie jednak przypomnieć z czym ono mu się kojarzy. Było to coś znajomego, miał to wręcz na czubku języka, ale nie potrafił tego uchwycić. Dopiero, kiedy minął kolejną kępę kaktusów zrozumiał, co to musiało być. Zrozumiał, gdyż przed nim ciągnęła się pustynna droga, zaś to światełko było światłem samochodowych reflektorów. Wszedł na drogę, była tylko utwardzona; nawet nie asfaltowa. Jej kierunek mu odpowiadał, więc szedł nią dalej. Wokół było cicho, o wiele za cicho. Z reguły słychać tu nocą odgłosy życia, czy to wycie kojota, czy to szelest biegnących lisków, a teraz nic. Brak pola osobistego powodował, że zrobiło mu się zimno. Przecież był tylko w tenisówkach i kąpielówkach, co nie da się ukryć było dość fatalnym strojem na spacer nocą po pustyni. Niestety, nic na to nie mógł poradzić. Co jakiś czas przystawał, podnosił głowę i uważnie lustrował niebo. Księżyc wyjrzał zza chmur i kaktusy wzdłuż drogi rzuciły długie cienie. Mimo, że Księżyc za chwilę znów się schował, zdołał dojrzeć przed sobą na szosie jakiś kształt. Zmysł lokacji nie informował o żadnym ruchu. Na wszelki wypadek zszedł z drogi i począł zataczać duży łuk. Po dwustu metrach znalazł się na wysokości kształtu. Postanowił na razie posługiwać się konwencjonalnymi środkami, gdyż inne zużywały zbyt dużo cennej energii. Ostrożnie wczołgał się na wzgórek, po którego drugiej stronie biegła droga. Sunąc, przeniósł na bok kilka kawałków zeschniętego kaktusa, gdyż bał się, że może pęknąć pod nim z trzaskiem. Tele-

kinezja zaś była pewniejsza, niż ręka. Gdy był na szczycie, spojrział w dół. Kształt okazał się starym modelem ciężarówki „Forda”. A właściwie to nim kiedyś był, gdyż teraz prezentował sobą kupę złomu. Adam podniósł się i zszedł na dół zapadając się po kostki w piasku. Od razu wiedział co się stało. Zapadnięta skrzynia, zarwane zawieszenie, urwane i powyginane burty, jednoznacznie wskazywały na przyczynę. Tylko broń grawitacyjna mogła sprawić, że szoferka nagle zaczęła ważyć zamiast jednej, dwadzieścia ton, a drzwi co najmniej pięć. Nic więc dziwnego, że zaczepy i śruby nie wytrzymały tego, załamując się i deformując. Najlepszym dowodem na to była urwana wycieraczka, która do połowy wbiła się w maskę wozu. Spadając musiała ważyć z pięćdziesiąt kilogramów. Cały zaś samochód był wciśnięty w grunt na dobrych kilkanaście centymetrów. Rozkraczone koła wystawały z podłoża, pokrytego dużymi plamami smaru i oleju, wyciśniętego chyba, ze wszystkich możliwych miejsc. Co do tego, co się stało z kierowcą – Adam nie miał nawet najmniejszej wątpliwości, ale z obowiązku stanął na urwanym błotniku i zajrzał przez wciśniętą do środka szybę. Kierowca był starszym człowiekiem i wyglądał na typowego farmera. Chociaż w obecnym stanie mało przypominał kogokolwiek. Jego twarz, wgnieciona w deskę rozdzielczą – była kredowo biała. Policzek przebijał kluczyk do stacyjki. Pozycja tułowia wskazywała, że kręgosłup jest złamany co najmniej w kilku miejscach. Nie chciał zaglądać niżej, ale był pewien, że nogi tworzą jeden krwiak, gdyż musiały w nich popękać naczynia krwionośne, kiedy pięć litrów krwi pod wpływem olbrzymiego przeciążenia wtoczyło się w uda. Wystarczył zresztą jeden rzut oka na zwisającą bezwładnie rękę. Kończyła się ona opuchniętą i czarną od skrzepów dłonią. Adam puścił się rami i opadł na ziemię. Był

wstrząśnięty bezsensownością tej śmierci. Prawdą jest, że człowiek silniej reaguje, widząc na własne oczy czyjąś tragedię, niż gdyby miał się dowiedzieć o śmierci milionów. Adam wiedział, że miał rację, gdy sądził, że obiekt udał się w stronę tego światełka. Musiał natrafić na jadącą drogą, Bogu ducha winnego, farmera i tak jak jego zaatakował go bez pardonu. Tym razem jednak, użył fali skierowanej zgodnie z natężeniem pola grawitacji ziemskiej. Dlatego samochód był wgnieciony w ziemię, a nie rozszarpany na kawałki. Tamten człowiek chyba nawet nie zrozumiał, co się stało. Po prostu miał pecha, że akurat wybrał tę opustoszałą pustynną drogę. Adam otrząsnął się z rozmyślań i ruszył dalej, gdyż do świtu było tylko cztery godziny. Od północy zaczął dmuchać ciepły wiatr, zapowiedź pogodnego dnia.

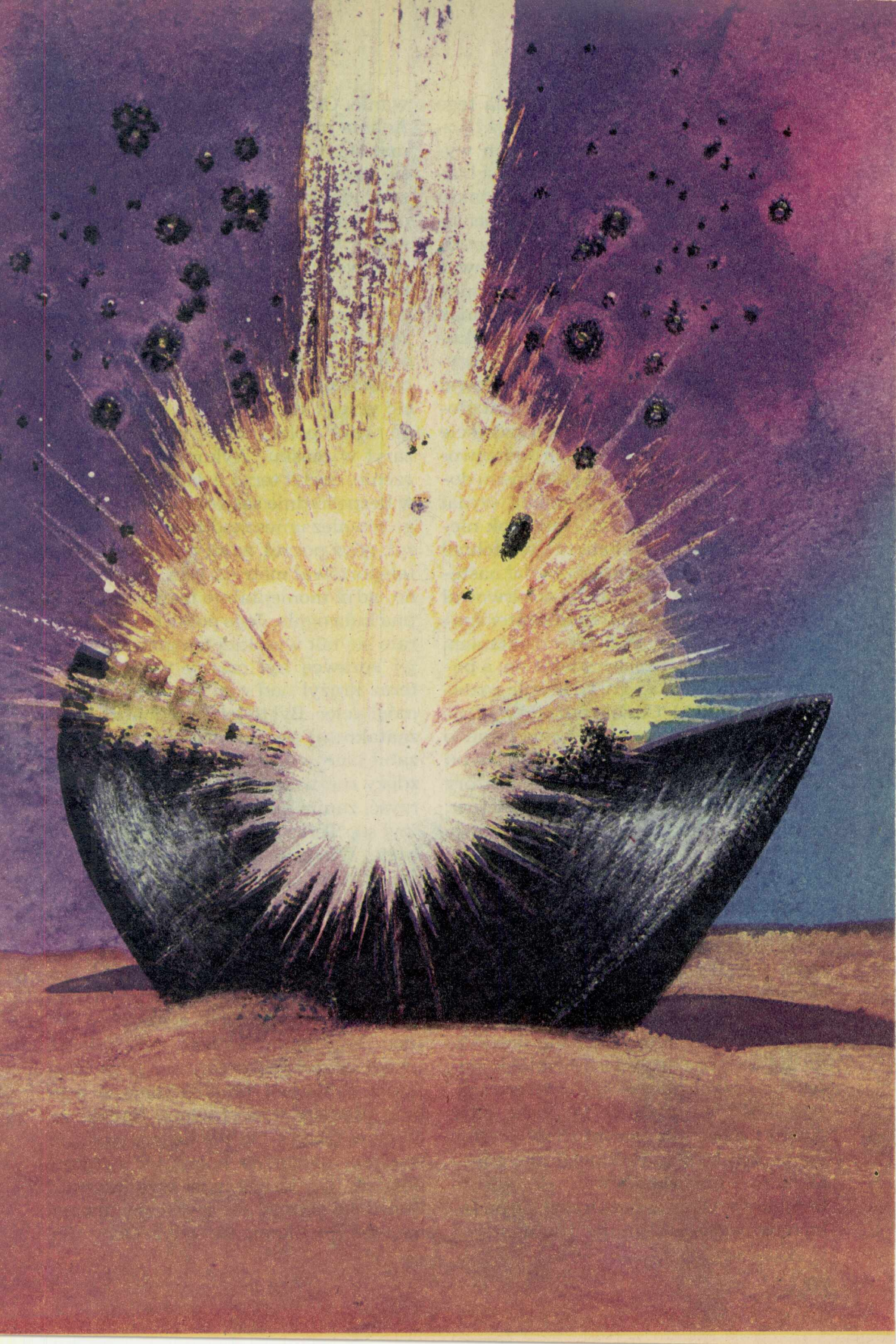
* Dwa kilometry dalej znalazł się przed zaporą. Co prawda trudno było nazwać ją zaporą z racji tego, że nie była ona w stanie nikogo zatrzymać. Jej zadaniem było informować o tym, że ktoś ją naruszył. Informować naturalnie tego, kto ją założył i kontrolował. Adam musiał przyznać, że szczęście znów uśmiechnęło się do niego. Zapora była rodzajem nieaktywnego pola siłowego o małym potencjale. Gdyby nie to, że uczulił zmysł lokacji, z pewnością by jej nie zauważył. Zaś naruszenie wywołałoby ingerencję przybyszów, co było mu nie na rękę. Wolał sam dyktować warunki i ciągle liczył na element zaskoczenia. Z miejsca, w którym obecnie stał, dostrzegał za wzgórkami, już po drugiej stronie bariery, lekki poblask. Przeczucie mówiło, że stoi tam lądownik. Spojrział w górę, lecz próbę dostania się do środka z powietrza szybko uznał za bezsensowną. Pozostało jedno wyjście. Musiał sprawdzić, czy bariera ciągnie się również pod powierzchnią gruntu. Odetchnął z ulgą kilka razy głębiej, jakby dla nabrania sił. Następnie

uważnie obrał kierunek, gdyż pod ziemią było to niemożliwe, a potem wyprostowany, powoli zagłębiał się w piasku. Naturalnie było tam zupełnie ciemno. Opuszczał się na głębokość dziesięciu metrów wychodząc z założenia, że jeśli tam jeszcze natknie się na barierę, to głębiej nie będzie po co szukać. Na trzech metrach zaczynała się skała i było mu trudniej się poruszać. Aby to zrobić, musiał dostosowywać budowę molekularną swojego ciała do struktury ośrodka. Skała zaś była nieprzyjemna, gdyż ze względu na jej spoistość musiał się przeciskać między jej cząsteczkami. W miarę upływu czasu zaczynał odczuwać, wręcz fizycznie, ciężar gruntu nad sobą. Czuł, że jest w dobrej formie, ale myśli, że wystarczy, aby zasłabł, a jego ciało momentalnie wtopi się w skałę, nie dawała mu spokoju. Jakby nie było, nigdy jeszcze nie przesunął się w stałych ośrodkach tak jak teraz. Nic więc dziwnego, że z ulgą przyjął dotarcie do dziesiątego metra. Tu musiał się skupić. Ostrożnie przesunął się kilka centymetrów w stronę, gdzie jak zapamiętał, znajdowała się bariera. Nic nie czuł. Znowu mały ruch i znowu nic. Zmysł lokacji pod ziemią pracował gorzej, ale na pewno na tyle dobrze, aby wyczuł potencjał bariery. Jeszcze parę drobnych przesunięć i mógł stwierdzić, że obcy nie rozciągnęli swojej bariery sferycznie. Miał wolną drogę. Dla pewności posunął się jeszcze z metr do przodu i począł się wynurzać. Gdy jego głowa wychyliła się nad powierzchnię piasku, zatrzymał się. Miał rację, bariera była za nim. Zdając sobie sprawę, jakże makabrycznie musi wyglądać jego głowa wystająca teraz z piasku, uśmiechnął się do siebie. Gdy stanął na nogach i przestał dostosowywać ciało do ośrodka, owiało go chłodne powietrze pustyni.

– Ciekawe – pomyślał – że świat, w nawet najbardziej wydawałoby się emocjonalnych dla człowieka chwilach, jest normalny i powszedni. Wiatr pozos-

taje wiatrem, a piasek tak samo chrzęści pod nogami.

Myślał tak, podchodząc pod szczyt wzgórza. Tam położył się na płasko, ponownie dostosowując budowę molekularną ciała. Jednak tym razem zagłębił się tylko na kilka centymetrów, gdyż oczy musiał mieć na powierzchni. Następnie lekko, można powiedzieć wtopiony w grunt, posunął się na szczyt i spojrzał w dół, na drugą stronę. Tam, między pagórkami stał pojazd obcych. Miał on kształt dysku z trzema symetrycznie rozłożonymi u góry wybrzuszieniami. Średnicę jego szacował Adam na jakieś dwadzieścia metrów. Każde z trzech wybrzuszeń wydzielało na końcu dość jasne niebieskie światło. W jego promieniach uwijały się wokół dysku trzy kształty. Były to czarne półkule zaopatrzone w szereg wysięgników. Krzątały się wokół jakiegoś aparatu przypominającego dużą wannę. Adam wiedział, że porównanie jest głupie, lecz nie to go martwiło. Problem był w tym, że owa „wanna” wyglądała na broń i, o ile wyczuwał, była to broń biologiczna. Najwyraźniej Obcy po wylądowaniu starają się zmontować uzbrojenie, którym skutecznie będą mogli zaatakować ludzi. Później mogliby nią szantażować Ziemię i ściągać z niej haracz. Fatalne dla ludzi odwrócenie ich poczynąń. Aby lepiej widzieć, na moment unióśł się do góry. Krąg światła rzucanego przez dysk kończył się dziesięć metrów przed nim, na stercie kamieni. Widząc to Adam, ciągle leżąc, unióśł się kilka centymetrów nad piasek i sunąc nad nim ukrył się za kamieniami. Tu już mógł przestać dostosowywać ciało. Musiał chwilę odpocząć, gdyż lot na tak śmiesznie małej wysokości był wyczerpujący, a poza tym czekała go najcięższa próba. Swoją uwagę skupił na tym robocie, który jak mógł dostrzec posługiwał się emiterem cieplnym. Była to najbliższa jemu półkula i, jak sądził, tu miał największe szanse. Próbował wejść w kon-



takt z ośrodkiem programowania tego automatu. Nie było to łatwe, gdyż łączność telepatyczna z urządzeniem wyprodukowanym nie przez ludzi jest bardzo trudna. W pierwszej fazie kontaktu szukał analogii z ziemskimi urządzeniami. Gdyby ich nie znalazł byłby bezradny, gdyż nie byłby w stanie wydawać poleceń automatowi. A konkretniej, mógłby je wydawać nie mając jednak najmniejszego pojęcia jaki wywrą skutek. To tak, jakby ktoś nie znający języka, a znający tylko alfabet, próbował coś napisać, licząc, że litery akurat ułożą się w potrzebne słowo. Na szczęście analogie znalazł w funkcjach podstawowych. Potem, poziom za poziomem, doszedł do ośrodka sterowania i wydał rozkaz zatrzymania się. Na widok nieruchomiejącego automatu westchnął z ulgą, gdyż mógł działać. Wydał następne polecenie z satysfakcją obserwował jak „jego” robot przystawia emiter spawarki drugiemu. Pod jego działaniem pancierz tamtego zaczerwienił się, a potem zbieleł, tocząc grube krople roztopionego metalu. Chwilę później w miejscu, gdzie obydwaj stały uderzył w niebo snop ognia i iskier, zamieniając się po chwili w kłęb smolistego dymu, który walił z dwóch szczerniałych szkieleatów. Teraz wypadki potoczyły się lawinowo. Trzy kopuły zaświeciły jaśniej kierując światło w jego stronę. Najwyraźniej Obcy odebrali kontakt telepatyczny, a w każdym razie zrozumieli, co się stało. Jednocześnie pod dyskiem pojawiła się jakaś sylwetka. Adam myślał sylwetka, nie dlatego, że rozróżniał jej szczegóły, ale dlatego, iż był pewien, że ma przed sobą Obcego. Kształt nie dość, że był w cieniu, to jeszcze światło kopulek przeszkadzało w jego obserwacji. Ale i tak, nie było na to czasu, gdyż Adam ujrzał, jak ostatni robot kieruje się w jego stronę. Próbował przez moment nad nim zapanować, ale było to bezcelowe. Obcy zabezpieczył się na taką możliwość, przejmując zdalne stero-

wanie. Gdy robota dzieliło od kryjówki Adama już tylko kilka metrów, zatrzymał się. Widząc to, Adam teleportował się dwa metry w bok. W samą porę, gdyż sekundę później robot ciął kamienie promieniem lasera. Jako, że parowały wręcz w oczach, laser musiał być przystosowany do prac górniczych. Dlatego też robot musiał się do niego zbliżyć, gdyż lasery takie mają stosunkowo mały zasięg. Obcy jednak spostrzegł swoją pomyłkę i robot wyłączył emisję. Potem obrócił się, a właściwie chciał się obrócić w jego stronę, kiedy Adam przeciął go w pół polem siłowym. Skwiercząc, zarył w piasku. Wykorzystując zaskoczenie, chciał teraz Adam teleportować w bezpośrednie sąsiedztwo Obcego i jego również unieszkodliwić, lecz nie zdążył, gdyż poczuł, że się pali. Odruchowo teleportował metr od tyłu, ale na próżno, gdyż momentalnie trafiła go następna kula ognia. Jego pole z trudem opierało się tak wysokiej temperaturze, zaś jej sprawcą był czarny pojazd, który teraz krążył nad nim pilnując, aby nie mógł uciec. Był to ten sam pojazd, który zaatakował go w powietrzu, a później zabił kierowcę. Adam miał nadzieję, że zdąży rozstrzygnąć walkę na swoją korzyść, zanim on wróci. Niestety, przeliczył się. Teraz musiał działać błyskawicznie. Wiedział, że teleportacja nic nie da, gdyż jej ograniczony zasięg nie pozwoli mu uciec spod kontroli pojazdu. Z jednego miejsca jeśli nawet ucieknie, to w drugim spotka go to samo. Zresztą jeśli będzie tak kluczył, to prędzej, czy później tamten wpadnie na pomysł użycia fal grawitacyjnych, a to byłby koniec. Miał jedno wyjście. Aby osłabić uwagę przeciwnika zaprzestał skoków i udał, że się pali. Miał nadzieję, że jego pole osobiste to wytrzyma. Sądził, że Obcy w ten sposób nie będzie zwracać większej uwagi na komputer swojego pojazdu. On to zaś musi wykorzystać. Starał się skupić, nie zwracając uwagi na rosnące płomienie, gdyż Obcy dla

pewności obrzucał go kolejnymi ładunkami plazmy. Próbował nawiązać łączność z komputerem, ale po kilku próbach zrozumiał, że nie da rady. Zbyt dużo energii pochłaniało pole siłowe. Niestety, jeśli je zmniejszy, to się spali. Był w kropce. Uczynił jeszcze jedną rozpaczliwą próbę, ale nadaremnie.

– Żebym miał choć trochę więcej energii – pomyślał, rozgoryczony własną bezradnością.

W tej samej chwili poczuł ogromny jej przyptyw. Miał wrażenie, jakby zerwały się tamy i teraz olbrzymią strugą łąduje ona jego organizm. Zrozumiał. Jak mógł zapomnieć, że jest jednym z dwudziestu? Teraz układ całą swoją moc skierował na niego, a on był jakby twornikiem pola całej dwudziestki. Mógł działać. Kontakt nawiązał o te same punkty zaczepienia, jak poprzednio. Komputer był na własnym programie, co jeszcze bardziej ułatwiało zadanie. Skumulował energię i wysłał ją w postaci potężnego impulsu – „staranuj statek”. Moment niepewności, ale już poczuł, jak pojazd nabiera szybkości lecąc w kierunku dysku. Poczuł też, jak Obcy, który dopiero teraz zrozumiał, co się dzieje, stara mu się odebrać kontakt. Było to jednak niemożliwe. Adam jak po sznurku prowadził pojazd do celu. Jeszcze sekunda, czy dwie a powietrzem targnęła potężna eksplozja i podmuch zdmuchnął z Adama ogień. Mogąc już widzieć, sycił wzrok widokiem triumfu. W miejscu, gdzie stał statek, teraz wypiętrzał się grzyb dymu i ognia. U podstawy grzyba powoli się topił, przelamany na pół, dysk z wbitym w niego pojazdem. Ale po chwili i te szczegóły stały się niewidoczne, gdyż oba pojazdy Obcych zamieniały się w kupę jarzącego się żużlu.

Adam ocknął się tuż przed świtem, gdyż zmysł lokacji informował go, że zbliża się kilka pojazdów. Leżał na piasku i mówiąc szczerze nie chciało mu się wstawać. Przyleciał tu trzy godziny te-

mu, kiedy uciekał z miejsca lądowania Obcych. Uczynił to z dwóch powodów. Po pierwsze wiedział, że tak jasna eksplozja będzie zarejestrowana przez któregoś z satelitów wojskowych i można się spodziewać wizyty sił rządowych; na co nie miał najmniejszej ochoty. Nawiasem mówiąc, to sądził, że pojazdy, które wyczuł są właśnie wojskowym patrolem. Po drugie, bał się zbyt dużego napromieniowania, o czym sygnalizował mu zmysł radiacji. Wiedział, że z tym co pochłonał, jego organizm sobie poradzi. Wstał i wsłuchał się w jego rytm. Już po chwili mógł stwierdzić, że wszystko jest w porządku. Organizm usunął już prawie trzy czwarte napromieniowanych komórek i przypuszczalnie za jakieś dwie godziny będzie zupełnie czysty. Jedyną konsekwencją będzie wzmożony apetyt w najbliższych dniach, kiedy będą się regenerować nowe komórki, bo napromieniowanie odda wraz z moczem, kiedy tylko skończy się ich usuwanie. Gdy już się upewnił, co do swojego stanu, nabrał głęboko powietrza i unióś się w górę. Wiedział, że musi się spieszyć, aby przez nikogo nie zauważony dostać się do domu. Zadanie wykonał. Ocalił Ziemię przed jednym z wielu niebezpieczeństw, jakie przynosi kosmos. Jeszcze nie raz on, czy któryś z pozostałej dziewiętnastki będzie miał okazję spierać się z siłami rozumnymi czy z żywiołami.

A jeśli któryś zginie, bo i tak bywa, to inni go zastąpią. Jego zaś miejsce zajmie ktoś nowy. Ktoś, kto uzupełni układ pełnej dwudziestki. Nie wiadomo kto to będzie, gdyż on sam tego nie wie do momentu, kiedy zrozumie, że istnieje dwudziestka, a on jest jej jedną dwudziestą. Gdyż ludzie nigdy się nie dowiedzieli i na razie nie dowiedzą o dwudziestce. Są jeszcze na to zbyt młodzi i zbyt impulsywni. Tak myśląc wracał Adam do domu, do domu, w którym dzisiaj, kwadrans po północy, został wybrany do dwudziestki.